

## Leonid Andrejew

### MARYSLIANKA

To było kompletne zero: dusza zajęcza i bezwstydną cierpliwość bydlęcia roboczego. Kiedy złośliwy los, jakby na kpiny, rzucił go w nasze czarne szeregi, śmialiśmy się jak wariaci: że też zdarzają się takie śmieszne, takie bezsensowne omyłki! A on — on, oczywiście, płakał. Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który miałby tak wiele łez, tak chętnie płynących — z oczu, z nosa, z ust. Niczym przesycona wodą gąbka, zaciśnięta w pięści. Widywałem i w naszych szeregach płaczących mężczyzn, ale ich łzy były jak ogień, przed którym umykały dzikie bestie. Od tych męskich łez starzała się twarz i młodniały oczy: jak lawa, wydarta z rozpalonych trzewi ziemi, wypalały niezatarte ślady i grzebały pod sobą całe miasta drobnych pragnień i pospolitych trosk. Temu zaś, gdy się wyplakał, czerwieniał tylko nos i wilgotniała chusteczka. Zapewne przesuszał ją wtedy na sznurku, bo gdzieżby mógł zdobyć tyle chustek? W ciągu wszystkich dni wygnania włóczył się od władzy do władzy, do wszelkiej władzy, jakie tylko były i jakie zdołał wynaleźć, kłaniał się, płakał, przysięgał, że jest niewinny, błagał o zlitowanie się nad jego młodością, obiecywał, że przez całe życie nie otworzy ust, jedynie chyba po to, by prosić i dziękować. Ci zaś wyśmiewali go, jak i my, i nazywali „małą, nieszczęsną świnią”, pokrzykując:

— Hej, ty, mała świnió!

Posłusznie biegł na wezwanie za każdym razem, przypuszczając, że usłyszy wiadomość o powrocie do domu, a oni tylko kpili z niego. Wiedzieli, tak samo jak my, że jest niewinny, lecz jego męczarnią chcieli nastraszyć inne małe świnię — jakby bez tego nie były dostatecznie tchórzliwe!

Przychodził do nas gnany bydlęcym strachem przed samotnością; ale surowe i zamknięte były nasze twarze i na próżno szukał do nich klucza. Speszony, nazywał nas miłymi towarzyszami i przyjaciółmi, a myśmy kiwali głowami i mówili:

— Uważaj, bo cię usłyszają.

Wówczas spoglądał na drzwi, ta mała świnią. Czyż można było zachować powagę!

Śmialiśmy się więc odzwyczajonymi od

śmiechu głosami, on zaś, pokrzepiony i ucieszony, przysiadał się bliżej, opowiadał z płaczem o swoich ukochanych

książeczkach, które pozostały w domu na stole, o mamusi, braciszkach, o których nie wie, czy żyją, czy też już pomarli ze strachu i tęsknoty.

Wypędzaliśmy go wreszcie.

Kiedy rozpoczęła się głódówka, ogarnęło go przerażenie — niewymownie komiczne przerażenie. Bardzo lubił jeść ten biedny wieprzek; bał się też bardzo miłych towarzyszy i niezmiernie lękał władzy. Stropiony pętał się wśród nas i często ocierał chustką czoło, na którym coś występowało: łzy albo pot. Spytał mnie nieśmiało:

— Długo będziecie głodować?

— Długo — odrzekłem surowo.

— A potajemnie też nie będziecie nic jeść?

— Mamusie będą nam przysyłać pierożki — oświadczyłem poważnie.

Spojrzał na mnie nieufnie, pokiwał głową i odszedł wzdychając. A nazajutrz oznajmił, zielony ze strachu jak papuga:

— Kochani towarzysze! Ja także będę z wami głodować.

Na to padła ogólna odpowiedź:

— Głoduj sobie sam.

Głodował! Nie wierzyliśmy, jak i wy nie wierzycie; przypuszczaliśmy, że czymś się pożywia w tajemnicy, i tak samo myśleli dozorczy. I kiedy przy końcu głódówki zachorował na tyfus

głodowy, wzruszyliśmy tylko ramionami: „biedna mała świnią!” Jeden z nas — ten, co nigdy się z niego nie wyśmiewał — powiedział:

— To jest nasz towarzysz. Chodźmy do niego. Bredził, i jak całe jego życie, żalosne było to jego bezsensowne bredzenie. Mówił o swoich ukochanych książeczkach, o mamusi i braciszczkach; prosił o pierożki i przysięgał, że jest niewinny; błagał o przebaczenie. I ojczyznę swą przywoływał, przywoływał ukochaną Francję — o, niechże będzie przeklęte słabe serce człowieka! Duszę nam rozdzierał swym krzykiem: „Ukochana Francjo!”

Byliśmy wszyscy w izbie szpitalnej, kiedy umierał. Odzyskał świadomość przed śmiercią; leżał cichy, taki mały, słaby; i my, jego towarzysze, także staliśmy w ciszy. Usłyszeliśmy wyraźnie, gdy powiedział:

— Kiedy umrę, zaśpiewajcie mi Marsylianę.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że to on miał suche oczy — a myśmy płakali, płakaliśmy wszyscy co do jednego, i jak płomień, przed którym uciekają dzikie bestie, płynęły nasze łzy. Umarł i zaśpiewaliśmy nad nim Marsylianę. Młodymi, silnymi głosami śpiewaliśmy wielką pieśń wolności i groźnie wtórował nam ocean niosąc na grzebieniach fal do ukochanej Francji i błądzący strach, i wzdychając. A nazajutrz oznajmił, zielony ze strachu jak papuga:

— Kochani towarzysze! Ja także będę z wami głodować.

Na to padła ogólna odpowiedź:

— Głoduj sobie sam.

Głodował! Nie wierzyliśmy, jak i wy nie wierzycie; przypuszczaliśmy, że czymś się pożywia w tajemnicy, i tak samo myśleli dozorczy. I kiedy przy końcu głodówki zachorował na tyfus głodowy, wzruszyliśmy tylko ramionami: „biedna mała świnią!” Jeden z nas — ten, co nigdy się z niego nie wyśmiewał — powiedział:

— To jest nasz towarzysz. Chodźmy do niego. Bredził, i jak całe jego życie, żalosne było to jego bezsensowne bredzenie. Mówił o swoich ukochanych książeczkach, o mamusi i braciszczkach; prosił o pierożki i przysięgał, że jest niewinny; błagał o przebaczenie. I ojczyznę swą przywoływał, przywoływał ukochaną Francję — o, niechże będzie przeklęte słabe serce człowieka! Duszę nam rozdzierał swym krzykiem: „Ukochana Francjo!”

Byliśmy wszyscy w izbie szpitalnej, kiedy umierał. Odzyskał świadomość przed śmiercią; leżał cichy, taki mały, słaby; i my, jego towarzysze, także staliśmy w ciszy. Usłyszeliśmy wyraźnie, gdy powiedział:

— Kiedy umrę, zaśpiewajcie mi Marsylianę.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że to on miał suche oczy — a myśmy płakali, płakaliśmy wszyscy co do jednego, i jak płomień, przed którym uciekają dzikie bestie, płynęły nasze łzy. Umarł i zaśpiewaliśmy nad nim Marsylianę. Młodymi, silnymi głosami śpiewaliśmy wielką pieśń wolności i groźnie wtórował nam ocean niosąc na grzebieniach fal do ukochanej Francji i błądzący strach, i krwawoczerwoną nadzieję. Na zawsze został naszym sztandarem — to kompletne zero o ciele zająca i bydłęcia roboczego i wielkiej duszy człowieka. Na kolana przed bohaterem, towarzysze i przyjaciele!

Śpiewaliśmy. Patrzyły na nas karabiny, złowieszczo szczękały ich zamki; ostre żądła bagnatów groźnie wyciągały się do naszych serc — lecz coraz potężniej, coraz radośniej brzmiała głośnie pieśń; w tkliwych rękach bojowników kołysała się cicho czarna trumna. Śpiewaliśmy Marsylianę !

Sierpień 1903 r.